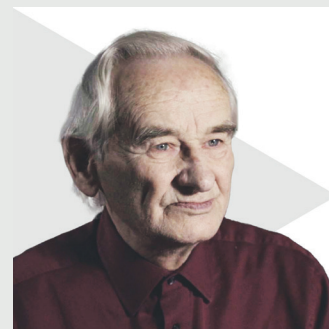




## Andrzej Pilecki

część I z II

Sygnatura notacji: **N1220**  
Data urodzenia: **16.01.1932 r.**  
Data nagrania: **12.12.2017 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 52 min, część II: 63 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sikorski: Panie Andrzeju, proszę nam opowiedzieć o okresie pana życia do wybuchu wojny. Gdzie i kiedy pan się urodził, o rodzicach, siostrze, dziadkach, jeżeli coś pamięta pan i miejscu dzieciństwa.**

**Andrzej Pilecki:** Ja urodziłem się na Kresach. Urodziłem się w Wilnie w 1932 roku, a mieszkalem sto kilometrów od Wilna, w Sukurczach. Sukurcze były to majątek, mały majątek Pileckich, a najbliższa miejscowość – Krupa była oddalona o trzy kilometry, a większe miasteczko było siedem kilometrów. To jest miejsce takie tam, gdzie właściwie się wychowywałem. Byliśmy tam w rodzinie czteroosobowej. Oprócz mamy, taty, była moja siostra Zosia. I dzięki temu, że byliśmy jakby oddaleni od jakiejś aglomeracji, to siłą rzeczy te nasze wychowanie opierało się głównie na rodzicach i nabywaliśmy jakichś cech, które później mi nawet przeszkadzały, bo nie byłem elokwentny, miałem mało kontaktów z ludźmi. Kiedy już zacząłem tam biegać sobie do innych chłopców w moim wieku, no to byli przeważnie jacyś pastuszkowie, prości ludzie. I moje wychowanie było takie trochę właśnie tylko oparte na rodzicach. Te lata, które tam spędziliśmy, to były szczęśliwe lata, to było przed wojną, nawet do trzydziestego dziewiątego roku. Zacząłem już chodzić do szkoły, do Krupy, właśnie te trzy kilometry. Tam z mamą rano wyjeżdżałem i tam skończyłem pierwszą klasę, i zdałem do drugiej, i już niedługo była niestety wojna i były jeszcze, owszem, była szkoła, mama też jeździła do pracy, ale one już były zupełnie inne. Czyli mogę powiedzieć jeszcze, kiedy ojciec tam sam gospodarzył, a mama jeszcze była, tylko w Krupie mieszkała, tam w oddaleniu jakby. Ponieważ była bardzo, udzielała się dla społeczeństwa, okolicznych gospodarzy i gospodyń, i cały czas poświęcała im. Ojciec interesował się nią i pomagał jej na przykład w wystawianiu sztuk w szkole, mając zdolności artystyczne, robił dekoracje i tak się zbliżył do mamy

jakby, a ona zamieszkiwała wtedy u państwa Szukiewiczów w majątku Krupa, czyli tam niedaleko szkoły. Tam były czasami spotkania. Pan Szukiewicz to była też ciekawa postać. To był wynalazca, znany chemik przed wojną. Twórca polskiego kauczuku. Wynalazca polskiego kauczuku z kartofla. Tak że bardzo ciekawa postać. Przylatywał samolotem, taką awionetką, prawdopodobnie to też się odbiło na moim życiu, bo tak się tym interesowałem. W ogóle techniką od początku. Tam ktoś ma, jakiś historyk, może bym powiedział, w cudzysłowie albo pseudo i on tam zakwalifikował mnie, że ja jestem ojca i marzę, że ja konia nie lubię i takie rzeczy. Po co takie rzeczy mówić, jak ja miałem tyle lat, że nie byłem uformowany zupełnie, a mnie tam konie. Koni było pełno naokoło, nie mogłem się specjalnie tam interesować, jak było coś ciekawszego. Takie jak samolot czy motocykl. No i ja nie wiem, czy ja tak mówię dobrze, bo to jest taka... trochę bałaganiarsko mówię. Ale co mnie czasami boli, że biorą się ludzie do jakichś publikacji i puszczają to w świat, a później, jak się już w wieku dojrzałym, bardzo dojrzałym spotykam w szkole jakiejś, tam gdzieś koło Gdańska, Przdokowo, jest sekcja, na koniach jeżdżą dziewczyny i jedna mówi: „A, panie Andrzeju, a pan to konia nie lubi”. I skąd? „Choć no tu, maleńka, powiedz mi, dlaczego tak mówisz?”. „A bo ja przeczytałam taką książkę”. „No widzisz, widzisz? Ja konia bardzo lubię, ale w Warszawie nie wchodzi do łazienki, bo prosiaki, słyszałem, że chowają w wannie czasami, ale koń mi nie wchodzi”. I tam się pośmieliśmy, po tego, ale mnie to denerwuje. Po co tak człowieka kwalifikować, od razu tak? No dobra, ale zemściłem się na nim tam później, gdzieś spotkałem i pogadałem z nim. Tak że dobrze, jak wspominałem właśnie te piękne nasze spotkania z ojcem i matką, rodziną, bo bardzo tworzyliśmy taką zgraną grupę, niewielką. Interesowało mnie jeszcze, a propos tej techniki, radio. Radio babcia miała kryształkowe i antena była potężna, nawet na zdjęciach widać. I był taki przełącznik, że zawsze po wyłączeniu i kończeniu jakiegoś słuchania trzeba było przełączyć takim przełącznikiem antenę na ziemię, żeby w razie piorunu nie była piorunochronem antena, bo to się... To znaczy, była piorunochronem właściwie, bo wtedy ładunek spływał do ziemi i nie było możliwości, że się dom zapali czy coś takiego. I to mnie takie rzeczy bardzo interesowały. Siedziałem u babci często w jej pokoiku i tam grzebałem tym kryształkiem, no. Ale już jestem chyba siódmym albo ósmym. Ojciec kupił aparat lampowy i był u nas w pokoju naszym, i tam były już zupełnie inna technika i tak dalej. To też mnie interesowała, że bateria, że bateria anodowa, że akumulator był oprócz tego do żarzenia, a bateria była dla anody, zasilania. To mi też zostało. Później w przyszłości właśnie uczyłem się w radiowej szkole. Zdałem do szkoły radiowej, takiej technikum. I byłem jednym z pierwszych takich absolwentów tej szkoły. Dlatego byliśmy prawie w czambuł przyjmowani do Kasprzaka do produkcji odbiorników. Najpierw były składane Agi, były na szwedzkiej licencji, a potem nasze odbiorniki już były robione. Tak że robotę miałem zapewnioną od razu. Teraz wracam znowu do tych Sukurcz. Tak często mnie pytają, jak to wyglądał dzień nasz. Było tak, że mama wyjeżdżała wcześniej trochę, a później nas budzono albo już nie wiem, jak się budziliśmy sami. W każdym razie mieliśmy już wpojony pewny rytuał, że trzeba było tam się pomodlić, trzeba było umyć zęby, trzeba było pościłać łóżko, chociaż była osoba, która mogłaby to zrobić. Ale nie, myśmy mieli taką, obowiązkowość jakaś taka była między nas. Wychowywani byliśmy od razu tak. I potem jak już wszystko było gotowe, przygotowanie jak by było, przygotowani byliśmy do śniadania, to meldowaliśmy ojcu, jedno z nas meldowało: „Kochany tatusiu, melduję, że wszystko jest w porządku”. No i to wtedy ojciec wiedział, że już my to wszystko zrobiliśmy. I wtedy jedliśmy to śniadanie. Nie będę może opowiadał takiego incydentu, jak miałem, który też mi się, może powiem, bo to może dla przyszłości, jak się wychowuje dzieci, jest ważne. Było tak, że ojciec trochę miał pewne takie też wady, bym powiedział. Dlaczego nas tak karmił owsianką, no? Przecież ostatecznie, jak ktoś nie lubi, to nie powinien tego, go do tego zmuszać. Ale było nałożone i trzeba było zjeść. Nałożył, czy myśmy sami sobie już nakładali. To było później tam jakoś. I tam trochę jak najmniej sobie nakładałem

zawsze. No i wyszedł, a ja tak się patrzę, były myszy cholerne, była dziura mysia, i tę całą porcję załadowałem do tej dziury. Ojciec przyszedł tak dosyć szybko i mówi: „Już zjadłeś?”. A ja mówię: „Tak, tatusiu, zjadłem”. No, a on się rozejrzył, bo to nie możliwe, żebym tak szybko zjadł. Zobaczył jakieś chyba płateczki tam koło tej dziury: „Kłamiesz. Nie dostaniesz za to, że nie zjadłeś i że tam rzuciłeś, ale za to, że kłamiesz”. No i takie dostałem niezłe lanko wtedy na gołą pupę. Tak że nie patyczkował się. No i to zapamiętałem. Zapamiętałem to. Dobrze zapamiętałem, bo się zsiakałem, jeszcze tam miałem opuszczone majtki, takie krótkie, to musiałem je suszyć przy piecu. Tyłem stałem i mnie już paliły się łydki, a ja nie ruszałem się. I krew zobaczył ojciec i wtedy mnie wziął. Tak że byłem ostro chowany. Ale to tylko ten incydent pamiętam, bo potem najczęściej żeśmy... On pewnie myślał, że mnie będzie wychowywał na gospodarza w ogóle. Że kiedyś ja będę tutaj gospodarzył. W związku z tym takie podstawowe sprawy gospodarskie mi pokazywał. Pokazywał, po co to się robi. I siadałem też na konia z nim, przed ojcem siedziałem, jechaliśmy na pole, na pola. Tam naokoło było tego trochę. I dojeżdżaliśmy do jakiegoś zboża, czy tam była pszenica czy to żyto, już nie pamiętam. Ale brał takie kłosa, rozcierał je na dłoni i mówi: „Zobacz, już się zaczyna sypać. Czyli będziemy za tydzień tutaj kosić tę pszenicę czy to żyto, bo ono już jest gotowe do tego”. Tam pojechaliśmy na łąki, tam z sianem jak jest. Czy to siano wyschło, czy tam jakaś inna sprawa dotycząca łąk, to też było pokazane. I tak żeśmy takie kółko robili i, wracając do domu, zajeżdżaliśmy zawsze... przy stawie była krynica. Tam nazywaliśmy ją krynica. To było miejsce połączzone ze stawem i była tam woda. Była tam ta woda, była filtrowana z tego stawu czy ona do stawu dostarczała, tego nie powiem. W każdym razie była woda bardzo zdrowa. Czerpaliśmy to czapką najczęściej, bo nie było tam kubeczka żadnego, a trzeba było się schylić i tego. I piliśmy tę wodę. Woda, nawet w poezji ojciec tam opisywał i tam Józefa, która tam sto lat miała i opowiadała o tej wodzie i samowary, jakie tam były w Sukurczach. Oczywiście nie było żadnej elektryczności, to wiadomo. To wszystko było, ta herbata czy coś, to było w samowarach gotowane. To żaden samowar innej wody nie widział, jak tamta. Nie z żadnej studni tutaj w domu czy coś, no może zimą była tutaj stąd, ale tak to nosili wodę stamtąd, z tej krynicy. Mówiono o stawie, w którym ona była, że miał właściwości lecznicze. Że ten ktoś miał choroby skórne, wykopał się, to leczył się i choroba nie wracała. Tam jeszcze było taki zdanie w ojca poezji, że choroba nie wracała. No i ja tę poezję jak czytam, to też mam łyzy w oczach, bo ja widzę to. Widzę, czuję zapach. Nawet jeden z Amerykanów, taki trochę też ma takie podejście bardzo dokładne do opisu. On mógł opisać dokładnie, jak to się włącza. Jak był teraz w Auschwitz, to prosił o, ponieważ był pierwszy projekt – kanałami wyjście, a nie taką ucieczką jak zaplanowana była przez piekarnię, to on poprosił o buty takie długie i wszedł do tych kanałów śmierdzących. On musiał to zobaczyć. I to uważam, że też może ma jakieś znaczenie, bo w Puszczy Niepołomickiej też pytał się leśników: „A w tym czasie jak Pilecki szedł, to co kwitło? Jakie drzewo kwitło? A jaki tu był zapach?”. I mnie się też pytał o zapach tam w Sukurczach. Ja mówię, możliwe, że bym powiedział, jak bym teraz tam poszedł i bym powąchał. I wtedy bym porównał jakoś. Ale powiedziałem tak w ciemno: „Na pewno był zapach lip”. Bo było tych lip dużo i ciotka wykorzystywała, mając pasiekę, były zawsze miody te pierwsze takie lipcowe i zawsze naokoło kasztana siadaliśmy na takiej okrągłej ławeczce, która otaczała ten pień wielki i tam się miód albo ssało z takich kawałków tego wosku, albo to był już w jakimś spodeczku, a myśmy ogórki świeże ucinali, jeden różek, różek i łyżeczką z miodem się wydręzało taką, kubeczek się robił z tego ogórka. I z tym miodem razem takim świeżym, to miało smak takiego jakiegoś arbuza, jakby takiego kawona albo jakiegoś właśnie z południowych stron gdzieś sprowadzane te były, prawda. Tak jak do tej pory są z resztą. No i to było takie właśnie odpowiedź na te zapachy, na te... Natomiast pamiętam to, że ojciec bardzo przywiązywał wagę do zrobienia przyjemności. Zarówno nam, jak i mamie. Bo mama zawsze trochę zestresowana, bo tam wykładała kilka przedmiotów, nie było tych sił nauczycielskich

za dużo. Było może, był kierownik i była jego żona, chyba była nauczycielką, nie pamiętam żadnej innej i była mama. Ja już jak byłem w szkole, to tam siedziałem z jakąś dziewczyną, pamiętam, jakiś czas, bo ona mi teraz przypomina, jak byłem w dziewięćdziesiątym drugim roku tam, to mówi: „To ja z tobą siedziałam na pierwszej ławce”. I tam mówi Henruś do mnie, a ja mówię: „Jaki Henruś, ja nie jestem żaden Henruś, jestem Andrzej” a ona mówi: „Ty jesteś Henruś”. I później sobie to skombinowałem, że Jędrus mama na mnie mówiła i ona fonetycznie to zapamiętała. Ale jeszcze ją tu spotkałem, mówię: „Powiedz mamie – bo mama żyła wtedy, jak byłem w dziewięćdziesiątym drugim roku – powiedz mamie, że ja tę krowę, co mi dała, tę Lalkę, to musiałam już ją sprzedać, bo ona była bardzo stara. Ja na was czekałam, ja wam chciałam to oddać”. I taka no, fajna była. „A powiedz, ja to ta, co nie miała ojca”. Mama jej dała tę krowę wtedy. No i w ogóle nas tam kochali wszyscy. Dzięki temu my żyjemy, bo chcieli na Syberię nas wygonić, to właśnie uprzedził nas komunista jeden, wychowanek mamy, który z Lidy przez wielką śnieżycę przebył się do nas te siedem kilometrów i: „Uciekajcie” powiedział nam w nocy. Przed samą nocą nam to powiedział, bo myśmy w nocy już uciekli. To był czterdziesty rok. Była śnieżycza cholerna, mróz też był. To była ciężka zima. Ale tak znowu wybiegam do przodu troszkę. Myśmy, zbliżał się trzydziesty dziewiąty rok, tam się tak nie czuło tego, tak jak tutaj w centrum, że wojna się zbliża, że takie rzeczy, Niemcy są daleko tam, dalej. My nie wiedzieliśmy przecież, jakie to są szybkie metody walki i tak dalej. No, ale tak właśnie było. Byli tam... piąta kolumna działała, szpiegów znaleźli chłopci, złapali jakiś tam, zrzuconych przez samolot. Tak że były takie tam incydenty, ale tak... No, w tym powiedziałem, że ojciec robił nam takie niespodzianki, a mamie szczególnie. Nas przebierał w jakieś stroje albo z bajki jakiejś, którą my tam żeśmy w książeczce mieli, albo w ogóle z literatury tam na przykład: „Ułan i panna”, albo co ja tam miałem, szablę jakąś taką miałem drewnianą czy tam coś. Miałem jakiś taki kaszkiet na głowie. Byłem ubrany za ulana, Zosia była za taką panienkę. No i bardzo fajnie. Albo znowu był samuraj i gejsza, albo no... takie właśnie różne ciekawe, nie pamiętam jeszcze innych, ale takie były. Inna sprawa, mama wchodziła, myśmy tam się wyginali, robili jakieś ruchy czasami musiałem: Maman, donne-moi le chocolat, po francusku, mama znała francuski, to dla niej to robiliśmy. Ojciec nauczył zdania jakiegoś mnie albo Zosię. No i te, to było zawsze śmiechu trochę, dlatego było wesoło, było fajnie. Ojciec wynajdywał najróżniejsze ćwiczenia, chciał, żebyśmy byli wygimnastykowani. Żebyśmy nie garbili się. Musiałem chodzić z takim drążkiem z tyłu za łokciami, żeby prosty kręgosłup był. Bądź tam jakieś rzucanie, jakąś kulą do jakiegoś... zbić jakiś domek z klocków jakiś postawiony czy coś tam. Trzeba było celować, oko, rzut, takie rzeczy jako chłopak. Później to już tego mnie nie uczył, ale ja się sam nauczyłem z procy strzelać dobrze, bez widełek nawet. Byłem takim mistrzem, że potrafiłem, a już nie będę się chwalił, lepsi, bo to robiłem różne psoty później. No i były też i takie rzeczy, gdzie na przykład nauczyłem się od chłopaków palić papierosy, ale papierosy z gazety się robiło. Tam jakieś liście tam tego. A najlepiej nam smakowało takie, jak była, później tam były, ojciec w ogóle straż pożarną zorganizował w Krupie i tam była taka remiza. To był właściwie taki bardzo prosty dom z bali. I między tymi balami był mech. Szpary były, prawda, zatłoczone mchem. Tak wysuszony on był. To myśmy wydtubywali i to jako tytoń było. To nasz tytoń był. Myśmy tak sobie palili z tymi pastuchami i tak dalej. Ojciec to zobaczył oczywiście, albo nie wiem w jakim... kiedyś tam musiał podejrzeć. „I co ty będziesz się tu męczył takim jakimś świństwem, chodź, ja ci zrobię dobry papieros”. I zrobił mi. Ojciec palił bardzo rzadko, tak raczej dla fasonu chyba. I miał to, żeby gilza była i żeby ta maszynka, ten stempel i tak dalej. To wszystko miał, te narzędzia. I sfabrykował takiego gwoźdźca. Jak to zapaliłem, to byłem od razu, świat zawirował, no chyba nawet może i torsje miałem, ale w każdym razie on od razu mnie: „Widzisz, widzisz, papierosy nie są dobre”. Dał mi od razu jakąś esencję do picia, z tego, z herbaty. Pamiętam, się jakoś tam doprowadziłem do stanu. No i no niestety ja później paliłem bardzo ostro. Byłem na dyżurach nocnych, zacząłem,

pałitem paczkę ekstra mocnych w noc. Zdrowie ojciec chyba miał jakieś i ja po nim to mam. Bo nic mnie nie brały najróżniejsze takie miejsca, gdzie koledzy padali, to ja wytrzymałem. Tam później z ręką, przecież ta ręka to była, napełnianie rur taką ręką, to była makabra. Dopóki nie było dygestorium i tylko to się ręce wsadzało i robiło, poprzez szkło oglądało, to myśmy się truli. Do takich zabaw, kiedy na przykład padał deszcz i trzeba było siedzieć w domu, to mieliśmy chińczyka, ojciec zrobił, kostkę rzucało się tam tego i posuwało tego. To mama miała zawsze, nie wiem, skąd miał takie klocki, te pionki, bo to było tak, jak teraz to widzę, to plastik był, bo były bardzo kolorowe. A przecież guziki jakieś, może były. Może tak szukał gdzieś w jakichś magazynach i znalazł w Lidzie, i przywiózł. Bo mama miała jeden kolor, już nie pamiętam teraz który, ale ojciec miał chyba czerwony, Zosia miała zielony albo żółty, albo ja miałem żółty, ona niebieski. Tak że każdy miał swój kolor. No i tak zawsze żeśmy sobie ten czas spędzali. Potem, no, ale to będę potem mówił. Szachy, tak zwane wojenne, to był ewenement. To dla chłopaków gra idealna. To już było w czasie okupacji, jak przyjeżdżał do Ostrowi do nas, ale to potem. Tam już tyle właściwie pamiętam. Jeszcze jakaś gra była, co się kostką rzucało, planszowa taka. I tak żeśmy tam radia słuchali, patefon czasami był tam, ojciec na gitarze grywał tam. I tak to wyglądało. A często, no często, nie często, ale były takie, ojciec był prawda, marzył zawsze o mundurze, tam pisze nawet sam w tych wierszach swoich o tym, jak tam przydział, jeszcze jak był chłopcem, różnym roślinom jakieś takie to... Tatarzy taka żółta pokrzywa, tam jakaś kwitnąca na żółto, że to Tatarzy, a tam inni to Niemcy, a tam piechota łanowa, a to będą na tych, a to tak i tego. I tam ciął to tą szabelką i tak biegał, i tak dalej. I on miał fantazję bardzo dużą. Ale chciałem rzec o tym mundurze, dlaczego mówię o mundurze? A no bo tam było, w salonie u nas były, biała broń na ścianie, wisiał taki jakiś jakby dywan i na niego były tam te gwoździe jakieś takie, to tutaj dobiłem coś takiego, tutaj za tą lampą widać, to jest tam taka szabla zrobiona i no to tam były najróżniejsze. Były rapiery, jakieś takie, no były... maski przede wszystkim. Dwie maski były i do fechtunku, i przyjeżdżał taki pan, jak on się nazywał... Chyba Żygowski się nazywał tylko nie z tej rodziny, bo to było popularne nazwisko, z Lidy i fechtowali się z ojcem. Brał tę maskę, te maski i tam jakąś rapie, jakieś taki tam, takie do dźgania tam sobie brali. I kiedyś pociągnąłem za to i tam spadło to wszystko. Ten cały dywan. Ale to był taki tak incydent. Tam jeszcze miałem kilka takich przygód niebezpiecznych, bo kiedyś dorwałem do broni. Gdzieś ojciec zostawił nieopatrznie w ciemnym pokoju, tam, gdzie się nie wchodziło, bo był u nas taki jeden pokój ciemny. W samym środku tego dużego domu, bez okien, w środku połączony bezpośrednio do komina, bo tam była wędzarnia. Była wędzarnia, bardzo taka duża, z całych okolic przyjeżdżali, szynki przywozili na święta i tam wędzili. O tym to ja tylko przeczytałem, bo ja nie pamiętam, żeby ktoś tam wędził. Za moich czasów tam była... lamów, takie stare różne rzeczy niepotrzebne, uprzęż jakaś tam, siodło stare jakieś. Jak się grzebało, bo to nie było podłogi, tylko była taka polepa, to się znajdowało kopiejski jakieś tam cara jeszcze wydrukowane, to znaczy wybite. Taki był pokój. I ja tam znalazłem pistolet ojca. Chciałem go do zabawy wziąć, ale mówię: „A cholera, może być naładowany”. Miałem trochę pomysłu technicznego, mówię: „Trzeba go jakoś rozładować”. Jak to go rozładować? Nie umiałem manipulować jeszcze nim. No to wziąłem go, położyłem go w georginiach za oknem, za oknami. I tak lekko odsuwając się, rękę wystawiłem i pociągnąłem za cyngiel. Jak dziabnął, jak huknął. Mama od razu w oknie. I tego: „Co to?”. Ja mówię: „A to kuzyn strzela do ptaków”. Bo ten kuzyn często strzelał do tych ptaków. Yam nie wiem, taki był, mieliśmy kuzyna. No i tak że. Ja oddałem, zaniósłem do chłopaków ten pistolet, a oni zakapowali mnie od razu do ojca. Nie dostałem za to nic, bo sam to był ojca błąd, że zostawił w takim miejscu, gdzie dziecko mogło wziąć, prawda? Ja mogłem narozrabiać cholernie. Mogłem Zośkę zabić, mogłem sam się zabić, mogłem to... No i widzicie, i takie to wyglądają rzeczy w młodym wieku. Pewnego... babcia później umarła nam, w trzydziestym dziewiątym w czerwcu. Bogu dzięki, że umarła, bo już wojny nie

widziała. A zaraz po tym gdzieś tam w lipcu czy coś, była taka burza potężna. I zwała gniazdo bocianie, i cały ten czubek właściwie chyba tej jodły czy to różnie mówią, jodła, inni mówią świerk, ale nieważne. To takie było to drzewo wysokie. Tam ojciec wchodził tam, opisywał to, że wchodził, później tam silnie wykorzystywano na tym gnieździe jakieś, nie było jak już odleciały, to tam ojciec leżał i sobie marzył, patrząc się w niebo, jak tam chmury przez tego i tak dalej. Takie różne rzeczy. To tam jest tylko pięćdziesiąt stron niecałe chyba nawet, które ojciec napisał. Od dwudziestej piątej strony się zaczynało chyba i to ten poemat. No, ja dopisałem ostatnią zwrotkę, jak tam pojechałem w dziewięćdziesiątym drugim roku. Jak zobaczyłem, byłem taki zdenerwowany, taki byłem wściekły na to komunisty i tak dalej, że w pociągu zacząłem myśleć i pisać. I napisałem to, tam trochę błędów narobiłem, bo napisałem te moskiewskie zwyczaje, a to niepotrzebnie, bo co Moskwa ma do tego. Trzeba było napisać jakoś inaczej. No i te bociany właśnie jak wpadły, myśmy wyskoczyli z Zośką, na całym tym dziedzińcu woda, ona nie wsiąkała tak wszystko, bo opady były i wiatry. Biegaliśmy boso i zbieraliśmy te bociany, bo to już były wyrosłe te. One mogłyby i latać jakby od biedy, ale jak były tak sponiewierane tak przez te gałązki, że ledwo je, tego, wyciągnęliśmy. I za chwilę ojciec wjeżdża takim, bryczką, jednego konia, taką małą. I w tej bryczce wioził bociany, właśnie zbierając po drodze ze zwalonych gniazd. I jak napisałem tam w tym, że w Sukurczach bociania klinika powstała, bo ojciec leczył te bociany. Tam kilka od razu zdechło, ale coś tam się udało. I wszyscy powiedzieli, naokoło mówili, to zła wróżba. To gniazdo było tutaj sto lat i tak dalej. I rzeczywiście to był trzydziesty dziewiąty rok, za chwilę myśmy pojechali na wakacje do Ostrowi, a w tym czasie ojciec był mobilizowany. Przyjechaliśmy, to już nie było ojca w Sukurczach. Był w pobliżu, był gdzieś tam, ale nie tego. Tam byli oficerowie jacyś, zajęli nam nasze mieszkanie, sobie w naszych łóżkach spali. A ojciec jak wpadł, to nie patrzył na ranę i tak ich tam ustawił. „To ja w namiotach tam gdzieś tego, a wy tu w moim łóżku?”. Tak dali, że ustawili się jak trzeba i myśmy wrócili na swoje miejsce. I za chwilę żeśmy żegnali go, jak na czele „Krakusów” takie pożegnanie było w Krupie, przed szkołą. Myśmy stali z mamą i całą naszą klasą, i tam szkoła nawet. A on miał zawsze fantazję taką, tego. Jechali, śpiewali, darli się, a może nie. W każdym razie nie, jakby nas nie widzieli. Wszyscy tam było: „Na prawo patrz”, ale to było tak sztywno i tego. Bo to dziwne trochę dla mnie. No, ale taki był widocznie rozkaz. No i przód minęli, za chwilę on wraca. Wraca i to ja, tego dobrze nie pamiętam. Jak on, jak byłem w dziewięćdziesiątym drugim roku, to taki Jan Łapia, starszy ode mnie był. Jak ja miałem siedem, to on mógł mieć jakieś dwanaście lat. I on obserwował i do mnie mówił: „Kak oficer skoczył z tego konia”. Mówi, tak tego: „Nie tam, że zszedł zwyczajnie, tylko jak on skończył, bo prawie w biegu. I tak wziął ciebie do góry, ucałował, Zosię do góry ucałował, swoją Maryję przycisnął i wskoczył tak, galopem poleciał”. Baby grykę ustawiały w dziesiątki, jak już ususzoną, czy coś tam i nie wiem. I mówi, on przy nich się zatrzymał i mówi: „Do widzenia, kobietki, za dwa tygodnie się spotkamy”. No i: „Tak my już go nie widzieli – mówi – ludożercy go zeżarli”. Tak że fajnie opowiadał. Takim swoim akcentem. To nie byli Białorusini, to byli tamtejsi ludzie, to byli Polacy w zasadzie. No i on... byłem, za 2007 roku byłem drugi raz. Już go nie było, nie żył. Ale jego brat mnie dorwał tam. Przyjechał z Krupy, z Lidy przyjechał, bo w Lidzie mieszkał. I mnie w kościele złapał. To byłem 2 listopada na Zaduszki. No i mówiłem ci tego, brat też ładnie mówił, ale się rozplakał. Dużo takich miałem incydentów z tej podróży, bardzo jestem zadowolony, że udało mi się tam pojechać. Bo raczej bałem się jechać tam. Zawsze miałem to w sobie, przecież uciekaliśmy tam. Tam nas chcieli wywieźć na te białe niedźwiedzie. To wszystko było tak straszne. Ja jak jechałem do Bułgarii, to nie jechałem, gdzie było taniej przez tutaj te Czerniowce pojechać, żeby za zuwaczki można było benzynę wziąć, czyli za gumę do zucia. Bo Ruskie tak się za tym wtedy szaleli, amerykańska, smakowa. To można sobie wziąć i tego. A wolałem sobie jechać przez Duklę i tam przez Słowację obecną. Przez Słowację, Węgry, Rumunię i tak dalej. Tak że jak tam

się znalazłem, no to mnie tak. Najpierw to mnie szlag trafił, jak zobaczyłem Sukurcze, gdzie były, bo ich nie było. Szukałem miejsca, gdzie były, ten właśnie łapian ze mną był, tam przywiózł mnie taką, po gnoju co prawda to było, taką przyczepkę na takim małym traktorkiem. Ja z Basią byłem, z żoną i było, bo był zjazd lidzki w Lidzie, pierwszy międzynarodowy zjazd. Ja się stamtąd urwałem od razu do Sukurcz. Nie będziecie tu mieli ze mnie pożytku, tam te wszystkie takie, gdzie Polacy walczyli, AK, tego to ja nie jeździłem tam. Do Wawiórka czy tam jakieś inne miejscowości, takie tego. Ja musiałem tam być i tego, na cmentarzu, na tym, cały czas. No pierwsza rzecz, to pojechałem pierwszego dnia od razu, to pojechałem, zamówiłem mszę. Zamówiłem mszę na godzinę dziesiątą i trochę się spóźniłem, bo mnie pokazywali taki cmentarz, który powstał na skutek Czarnobyli i tylko tam chowali takich. A on potężny. Potężny cmentarz. Czyli tylu ludzi tam zginęło, bo ta fala poszła w tamtą stronę jakoś tam do Szwecji, do Wilna i tam tamtędy jakoś poleciała. No i on... i co? Idę do kościoła spóźniony i tam patrzę, stoją, wianuszek bab, co nie wchodzi do kościoła, oni czekali na nas. Podrzucił mnie lekarz polski, który był w Lidzie i widział, że ja tam szukam jakiejś okazji, bo nie miałem jak tam dojechać. I ofiarował się zawieźć mnie. Pokazał mi ten cmentarz przy okazji. No i tam idą te baby, tego i ta jedna idzie i płacze. A ona szła, ona nie szła. Ona się sunęła. Ona szła od godziny szóstej, a ja mówię: „Zaraz, jest dziesiąta. Przecież ty tu pół kilometra masz”, bo ja ją pamiętałem. To była... pani Krupowicz się nazywała. To była niańka mojego kolegi, niańka takiego. No i aha... To była niańka tego faceta kamerzysty, który ze mną pojechał tam. Bo to był syn pana Serafina, który był kiedyś kierownikiem mamy, tak że to taka, dobrzy znajomi. No i ten syn miał tutaj chyba, ma taki jakiś zespół, który tam, robią filmy i tak dalej. I myśmy pojechali, ja jego namówiłem i on pojechał tam. I on od razu sto dolarów jej tam dał, bo jak zobaczył, jak ona... Ona była chora na nogi. Miała słupy, nie nogi. I: „Ja musiała przyjść zobaczyć – mówi – Ja przyniosła tego...”. I przyniosła strzępy książki. Strzępy książki, które ojciec w trzydziestych latach dał jej. Ona czytała, nie miała męża i czytała tego, te książki. Jak w gospodarstwie tam zachowywać, jak mleko przechowywać, lodówek nie było przecież. Jak tam różne rzeczy robić. Nawet chyba, jak się od ciąży uchronić. Wszystkie były tam informacje, takie vademecum. I taką jedną książkę, i drugą książkę jakąś beletrystyczną. Ale to były żółte takie tego, gdzieś tam na strychu chowane, bo się bała chyba. No i ona: „Musiałam ci to oddać, bo mi twój tata to dał, pożyczył”. No i później odwieźliśmy na miejsce. Sukurcze, jak podjechaliśmy tą przyczepką, wyszliśmy tam, to najpierw mi pokazał, że to tutaj, tak ręką pociągnął tak po nie wiadomo, gdzie. No i ja mówię: „Zaraz, tam widzę kamienie”. To były kamienie z podwalin, bo to był przy tym, czterysta lat lekko licząc, ten dom. Więc nie było wtedy cegły. Podwaliny były na wielkich głazach. Te głazy sobie dali, zadali trudu, przetransportowali za te palistawy. A w którym roku? W sześćdziesiątym piątym, czyli wszystko ocalało. Sukurcze przez wojnę ocalały. Jeden przeszedł front, Niemcy wracali, Ruskie, tego. Przeszło wszystko, a one wytrzymały. Zniszczenia, ukradzione wszystko tego, ale były. A dopiero w sześćdziesiątym piątym roku, tak mi przypominała tam jedna pani, Śnieżko się nazywała, mówi: „Jak ja brała ślub, to wtedy rozbierali Sukurcze”. A ona brała w sześćdziesiątym piątym. No, wtedy to ja mówię: „No sukinsyny, no”. Zamiast zostawić to, żeby mieć dla ludzi po prostu, no przecież nie dla nas. Tylko dla jakichś ludzi, dla zwierząt, dla tego. A wszystko zniszczyli. Zniszczyli prawie wszystko, bo jeszcze te kamienie były. Jeszcze ja wskoczyłem na kamień, który był, musiałem przez wodę skoczyć. I usiadłem na tym, a moja żona, nagrało się na kamerę, mówi: „O czym że tu dumać na sukurczowskim bruku”. Tak głośno powiedziała i to było słychać. No, a ja tam rzucałem inwektywy po prostu. Że to tak zniszczono. No i później ten mnie mówi: „Zobacz, tu była rybka, pływała i ptaszka śpiewała. Tu twój ojciec hodował koniczynę. – mówi – ale nie koniczynę taką, żeby konie zżarły, tylko koniczynę na nasiona! To była specjalna koniczyna. To była w specjalnych warunkach. Jaka tu była ziemia, człowieku. Tu pszeniczna ziemia. Tu była pszenica, tu było wszystko.

A teraz? Teraz krowy nawet tego nie chcą jeść – mówi – bo to zdziaczało wszystko”. No i myśmy, tam też było nagrane, w końcu oni: „Jedzie, jedzie na kasztance”. Zaintonował jeden z nich, bo był też wychowanek mamy. Mówi: „Twoja mama nas to nauczyła”. I obaj oni, był tam jeszcze taki jeden facet z mojej rodziny, Czesiek, zapomniałem w tej chwili nazwisko i żeśmy we czterech zaśpiewali o Piłsudskim. Tak że, no, pięknie to wyglądało na tym. Teraz byłem w Kołobrzegu na wiedzy tam już, leciałem samolotem. To już latam, bo powiedziałem, że nie będę jeździł pociągami tak daleko. Tam byłem w wojsku to wiem, ile tam... I przesyłają mnie bilet, ja lecę do Goleniowa, tam przerzucają mnie do Kołobrzegu. I pokazali mi... Bo ten kolega pojechał ze mną w siódmym roku, w 2007. Robił dla Polonii film, dwudziestominutowy taki. Właśnie Pilecki jako chyba rolnik czy coś takiego. Taki był tytuł? Ja już nawet nie wiem tego, jak go spytać jeszcze. I on, i teraz chyba IPN wykupił od niego to i puścili to w Kołobrzegu, a aktor, który prowadził tam takie to spotkanie wieczorne, cały czas nawiązywał do mnie, że pan Andrzej pytał, a pan Andrzej powiedział, a tego. I to tak grali na moich uczuciach, że ciężko mi było wytrzymać. A szczególnie na końcu, bo to było drugiego, byliśmy tam 2 listopada, w Zaduszki. I ja biorę znicz, i chcę go postawić gdzieś, a widzę pole. Nie widać, bo już tych stawów nawet nie było widać, tych kamieni nie było widać, nic nie było widać. Tylko taka, jakaś łąka jakby tak długi, długi. I ja tak się rozglądam, gdzie by to postawić, a mówi: „Tu jego pot wsiąkał”. Bo ojciec tam to wszystko postawił na nogi. I tak w trawie to stawiam. Co oni wtedy... ja im powiedziałem, że ja mogę mieć atak serca. Bo to było naprawdę wzruszające. Ten aktor to jeszcze tak, się Kowalski chyba nazywał po prostu. No i ładnie to pokazał.